

A R T U R

**BANIEWICZ**

**DOBRY POWÓD,  
BY ZABIJAĆ**



A R T U R  
**BANIEWICZ**

---

**DOBRY POWÓD,  
BY ZABIJAĆ**

## Rozdział 1

- Czołem, plutonowy.

Choć słońce chowało się już za horyzont, była w kamaszach, zakurzonych jak na porządnego żołnierza przystało, i w laciatych spodniach od munduru polowego. Za butami nie ciągnęły się ogony puszczonej samopas sznurówek, a spodnie, choć mogły, nie zwisały na zewnątrz cholewek. Jednym słowem: trudno ją było rozpoznać bez podnoszenia głowy. Dopóki się nie odezwała, brałem ją za zaliczającego kolejną rundę wartownika. Chłopak był tak śmiertelnie znużony, że co jakiś czas skręcał pod mój daszek i bez słowa gapił się, jak czyszczę glauberyta.

- Czołem, plutonowa. - Zacząłem podnosić ciężki od upału oraz piwa wzrok, ale nie udało mi się dotrzeć do twarzy i posłać Patrycji zdawkowego uśmiechu. Moje nieświadome zagrożenie spojrzenie najpierw wpadło w wilczy dół odsłoniętego pępka, a potem, wygramoliwszy się jakoś, grzmotnęło łbem o potężną jak Himalaje zapórę biustu.

W charakterze dodatku do militarnego dołu dziewczyna nosiła nawet dość przyzwoity, ale beżowy stanik, który tylko z bliska dał się odróżnić od opalonego tła. Abstrahując od koloru, był to typowy przedstawiciel bielizny nieplażowej i trzeba było mieć sporo dobrej woli, by po znokautowaniu widokiem kobiety paradującej w czymś takim poza własną sypialnią zwracać jeszcze uwagę na fakt, iż nie jest to także model robiący furorę w sex-shopach.

Miałem sporo dobrej woli - piwo w połączeniu z upałem łagodzi obyczaje - toteż szybko znalazłem aż trzy argumenty

w obronie Patrycji i góry jej munduru. Stanik nie miał mianowicie prześwitujących wstawek, do uszycia go użyto budująco wiele tkaniny, a nim został włożony i zademonstrowany światu, w robocie był ręcznik. Patrycja nieraz już zadawała szyku, parując po składnicy w lekkim podkoszulku lepiącym się do mokrego ciała i trzeba przyznać, że te przemarsze zrobiły chyba nie gorszą reklamę jej biustowi.

Co nie znaczy, że spudłowała. Na mokre podkoszulki zdążyłem się uodpornić. Na to jeszcze nie.

- Mogę usiąść? - Oczekwała, aż przebiję się przez przełęcz jej Himalajów, i posłała w dół przyjazny uśmiech. Po czym trąciła taboret czubkiem buta. - Na tym?

- Na tym rozbieram automat. - Trochę przesadziłem: glauberyt był już czysty i niemal złożony, a na stołku pozostały głównie brudne szmaty.

- No to najwyżej mnie też - wzruszyła ramionami. Zagarneła cały załuszczony śmietnik i ostrożnie, by niczego nie wysypać, położyła na piasku. Lejący się z nieba żar i jej musiał dać się we znaki, bo klapnęła pośladkami o taboret bez silenia się na kocio-kobiecą elegancję.

- Też? - Z winy piwa nie błyszczałem intelektem.

- Rozbierzesz - wyjaśniła. I dopiero wtedy, po opanowaniu mocnego, stołkowego przyczółka, zmieniła uśmiech na bardziej profesjonalny. - I tak dalej.

Nie wypilem aż tyle, by nie zrozumieć. Po prostu piw było za mało jak na taki temat. Chyba błędnie odczytała moje nijakie spojrzenie, bo wyjęła mi automat z rąk. Uniosła go do ust, dmuchnęła w lufę jak rewolwerowiec z kreskówki. Nie miałem pewności, czy wargi musnęły metal, odnotowałem za to, że całkiem niedawno musiały mieć kontakt ze szminką.

- Bo wystrzeli - ostrzegłem. - Albo ktoś pomyśli, że cię rzuciłem i urządzasz scenę.

Wykonała kolejny skłon, podnosząc leżący na szmatach wycior. Miałem okazję zajrzeć jej w dekolt i przekonać się, że od tej strony Himalaje robią jeszcze większe wrażenie.

- Boisz się plotek? - Dorzuciła nieco kpiny do prowokującego z natury uśmiešku. - Taki duży chłopiec?

Złe słowo. W trakcie biurowego flirtu jej uwaga brzmiałaby inaczej, ale nie siedzieliśmy przy kawie, otoczeni monitorami i segregatorami, jak para poważnych ludzi. Dookoła ciągnęły się rzędy zasieków z żyłkopodobnego drutu ostrzowego, a dalej był tylko piach, kurz i drżąca z gorąca beznadzieja turkmeńskiej pustyni.

Nie odpowiedziałem. Zabrała mi automat, lecz na szczęście w butelce zostało jeszcze trochę Zemsty Allacha. Mogłem siedzieć, saczyć ciepławy napój i brać Patrycję na przeczekanie. Piwo, najtańsze po tej stronie Amu-darii, zasłużenie cieszyło się sławą paskudnego, więc mogłem też krzywić się bezkarnie. Cierpiąc w towarzystwie najzgrabniejszej dziewczyny polskiego kontyngentu, traciłem twarz. Cierpiąc w towarzystwie tutejszego piwa, jedynie zyskiwałem jako konser w oczach świadków. A nie licząc wartownika, gapiącego się na nas zza worków północno-zachodniego bunkra, ubierało się ich jeszcze ze trzech. Plutonowa Górską niby zdążyła się wszystkim opatrzeć jak lew pracownikom zoo, ale teraz lew wyszedł, by pożreć porcję świeżego mięsa, co stanowiło już jakąś atrakcję.

- Dziś piątek - odezwała się po długiej przerwie. - Masz plany na wieczór?

- A dlaczego pytasz?

- Ja nie mam - przywołała na usta profesjonalny uśmiech. - Moglibyśmy coś z tym zrobić.

Nie musiałem pytać, co konkretnie. Do tej pory siedziała z peemem opartym o jedno z szeroko, po męsku rozchylnych ud. Teraz w końcu skorzystała z broni: bez pośpiechu wetknęła wycior do skierowanej w niebo lufy i wolno poruszyła nim parę razy w dół i w górę.

- Nie ma płótna - mruknąłem, odrywając butelkę od ust. - Zdrapiesz mi gwint.

Znieruchomiała na kilka sekund. Musiała to przemyśleć. W końcu zrozumiała żart. Po swojemu.

- To o to chodzi? - roześmiała się. - Spoko, jestem solidna firma. Czysto i bezpiecznie. A płócien - lekko zaakcentowała to słowo - mam do wyboru, koloru i smaku.

Była jak napalony licealista: myślała tylko o jednym.

- Chyba tracisz czas - posłałem jej smętny uśmiech.  
- Jestem tu uwiązany.

- No to co? - wzruszyła ramionami. Siedziała na tyle blisko, że niemal dotykaliśmy się kolanami, ale po zawietrznej, i dopiero teraz przebił się do mnie jej zapach. A dokładniej: jej dezodorantu i kremu do depilacji. Nie umiałem przyporządkować aromatów do żadnych konkretnych kwiatów, ziół czy owoców, ale łaźnię mieliśmy jedną i już na całe życie ten rodzaj kremu miał mi się kojarzyć z fantazyjną, niebieską maszynką, której pani plutonowa zadziwiająco często zapominała zabrać z półeczki brodzika.

Podejrzewałem, że na ten haczyk złowiła nie mniej klientów niż na mokry podkoszulek.

- No... - W porę wstrzymałem się z uwagą, że w składnicy nie ma kin, kawiarenek ani żadnych tego rodzaju elementów harlequinowego świata. Nie w takim świecie żyła i chyba nawet nie o takim marzyła. - Nie, nic.

- Nawet lepiej. - Jej szczupła, nieco zbyt pociągła twarz wyrażała teraz życzliwą rzeczowość dobrego handlowca, którego trudno oskarżyć o wciskanie klientowi niechcianego towaru, mimo iż właśnie to robi. - Taniej. Wyjazd kosztuje. Nie mówiąc o ryzyku. Jak nie kaszaniarz, to żandarm albo jakiś kapuś... A tu sami swoi.

- O co ci właściwie chodzi? - wziąłem byka za rogi.

- Jakbyś nie wiedział... Koniec miesiąca, chłopcy są splekani. A ty jesteś sam. Mógłbyś się raz zabawić, nie?

- Z tobą? - Z bykiem raz chwyconym za rogi nie ma już sensu uprawiać podchodów.

- Nie jestem w twoim typie? - Figlarnie przekrzywiła osadzoną na smukłej szyi głowę. Kandydatki na miss takiej czy innej okolicy robią to na serio i efekt bywa z reguły żalospny, ale ona żartowała i nieoczekiwanie, przynajmniej na chwilę, zrobiła się naprawdę śliczna. - Wolisz brunetki?

- Nie w tym rzecz. - Piwo się skończyło, ale pustą butelkę też można obracać w dłoniach. - Po prostu...

- Nie płacisz za to? - odpowiedziała łaskawie. Zdobyłem się na nijaki uśmiech. - Nie bój się, nie zedrę z kolegi plutonowego. Wiem, ile zarabiamy.

- To nie o to...

- Daj spokój, Adam. W życiu zawsze chodzi o forszę. Trochę mniej, trochę bardziej - ale zawsze.

- Nie mów tego głośno - wskazałem szyjką butelki ku środkowi bazy, celując z grubsza w pomalowany do połowy maszt, z którego zwisała już pełnobarwna, biało-czerwona flaga. - Zawodowy podoficer powinien powiedzieć, że nam chodzi wyłącznie o demokrację i prawa człowieka.

- Widać, że piłeś - pochwaliła się spostrzegawczością. - Zawsze schodzisz na politykę, jak popijesz. - Podlubała w ziemi obcasem, po czym uniosła głowę i spojrzała mi w oczy. - Mam dla ciebie abonament. Jedna pensja i do końca służby jestem twoja na pierwsze pstryknięcie. - Próbowała strzelić palcami, ale spoconym dłoniom nie zawsze to wychodzi.

- Pensja? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Mam ci oddać całą pensję?

- Nie chodzisz po burdelach. - Słowo „burdel” przeszło jej przez gardło równie gładko, jak porządnej kobiecie „przedszkole” czy „sklep”. - Masz prawo nie znać cenników. To gówniany kraj, ale za te rzeczy płaci się niewiele mniej niż u nas. Mają droższych alfonsów, a bezpieczeństwo słono kosztuje. Pewnie: można skręcić w jakąś szemraną dzielnicę i poszukać panienki za wagon fajek. Tyle że tacy ryzykanci już ładowali w chłodni. Najpierw trzeba im było wyjąć z buzi własne jądra. Chcesz tak skończyć?

- Najlepszy sposób to nie zaczynać. - Wyjąłem delikatnie automat z jej ręki, założyłem pokrywę na komorę zamkową. - Dzięki, ale nie skorzystam. Na hotele mnie nie stać, a nad kanał z tobą nie pójde. Mam fobię kanałową.

- Nie jestem syrena; nie musimy się bzykać nad wodą - powiedziała nieco zdziwiona. - Mało tu miejsca?

– Miejsca sporo – przyznałem, ślizgając się spojrzeniem po linii spiralnych zasieków. Biegła daleko za bastion z wypchnych ziemią worków, łącząc się na północy z poradzieckim jeszcze rzędem betonowych słupów, dźwigających klasyczny drut kolczasty. Ze swego miejsca za magazynem numer 4 widziałem jedynie sto metrów odziedziczonego po imperium zła ogrodzenia, ale z zachodu na wschód było go dobre pół kilometra. – Tyle ze gapiów jeszcze więcej. Gdzie niby chcesz...? W transzei?

– Jaja sobie robisz? – Po raz pierwszy tak naprawdę ją zaskoczyłem i od razu zrobiła się trochę zła. – Ślepy jesteś? Myślisz, że tylko na wyjeździe...?

– Nie – wszedłem jej łagodnie w słowo. – Właśnie w tym sęk. Tu od razu każdy wie, co się dzieje. Zero dyskrecji. A ja i tak jadę na resztkach autorytetu.

– Puknij się w głowę. – Chyba nie wierzyła, że skorzystam z rady, bo sama trąciła mnie wyciorem. Był to niezły pretekst, by go jej odebrać. – Przeleciałam całą tę twoją zakichaną drużynę. Wszystkich, słyszysz?

– No to tym bardziej. Coś musi odróżniać dowódcę.

Zrobiła ruch, jakby chciała poderwać się z urażą, lecz tym razem jeszcze się powstrzymała.

– Słuchaj, Adam – powiedziała cicho, pochylając ku mnie spoconą twarz. Do zapachu kosmetyków doszedł aromat mięty. Chyba przyszła tu z zamiarem niezwłocznego wcielenia w życie swych kuszących propozycji. – Potrzebuję tej forsy. A ty potrzebujesz baby. Tylko nie mów, że nie. Mam oczy, widzę, jak na mnie... To nic złego, człowieku! Normalna rzecz. Przecież nie mówię, że masz się żenić. Trochę gimnastyki, wszystko. Ja cię lubię, ty mnie, nikomu w szkodę nie leziemy... To naprawdę okazja. Za te pieniądze miałbyś tu blondynkę ze trzy razy. I to wcale nie lepszą.

Powinienem powiedzieć coś w rodzaju „no nie wiem” i zamknąć temat, może raz na zawsze. Wybrałem bardziej ryzykowną metodę. Może tak naprawdę nie chciałem, by zrezygnowała. A może jeszcze raz wylazł ze mnie mięczak.

– To nie o ciebie chodzi – mruknąłem, unikając jej wzroku. – Po prostu... no, w ogóle nie planuję teraz...

Zlitowała się wreszcie i uniosła biodra ze stolka.

– Zastanów się – rzuciła chłodno. – Jeszcze nie wiem, co zrobię z wieczorem.

Odeszła, kołysząc tym, co uniosła. Fajnie się poruszała. Nie aż tak jak Ilona, ale fajnie. Patrzyłem za nią, póki nie znikła za narożnikiem murowanego baraku. Chyba intensywnie, bo kiedy się odwróciłem, przy szlabanie stał już zakurzony samochód. Honker, eksperymentalna wersja opancerzona. Albo ślepek, jak go nieoficjalnie ochrzczono w armii ze względu na wielkie stalowe płyty przesłaniające szyby. Zamiast wyrafinowanej optyki rodem z drugiej wojny światowej, czyli peryskopu, względnie drogiego szkła kuloodpornego, sięgnięto głębiej w historię broni pancерnej i zastosowano genialnie prosty wynalazek znany już rycearzom: wyciętą w blasze szczelinę. W sumie cała konstrukcja tchnęła biedą i prowizorką. Silnik też do cichych nie należał. Musiało mnie mocno wziąć, skoro przegapiłem pojawienie się tej blaszanki. Co prawda za magazynem łomotało stereo, ale do szlabanu miałem jednak bliżej, no i nie oddzielało mnie od niego nic poza odcinkiem transzei.

Siedziałem z glauberytem na kolanach i patrzyłem, jak wartownik głowi się nad przeciwwagą, zerkając to w anonimowe, wąskie ślepie samochodu, to na mnie. Był nowy i najwyraźniej nikt mu nie powiedział, co się robi w takiej sytuacji. Albo wręcz przeciwnie: powiedzieli mu i teraz pocił się trzy razy intensywniej pod kevlarową kamizelką, próbując zepchnąć w niepamięć wszystkie upiorne opowieści o podstępnych atakach kaszaniarzy.

Nie poruszyłem się. Byłem tu dłużej i trochę lepiej potrafiłem ocenić, kiedy należy się bać – ale właśnie dlatego nie zamierzałem pokazywać mu na migi, by podniósł szlaban. Prawdopodobieństwem prawdopodobieństwem, a islam islamem. Szansa na to, że jakiś fanatyk zmawia właśnie ostatnią modlitwę i przypala lont półtonowej bomby, była nieduża,

jednak realna. Jak na uczciwy, polski wóz honker trochę za długo sterczał przed bramą z zamkniętymi drzwiami.

W końcu te po stronie pasażera otworzyły się z gwałtownością tłumaczącą poprzedni bezruch i z wozu bardziej wypadła, niż wysunęła się goła od kostki w górę noga.

– Ruchy, kocie! – Kierowca też musiał otworzyć drzwi, bo słyszałem go całkiem wyraźnie. – Nie będę tu nocował. Gościa macie, chwyć się za багаż.

Póki co, z багаżem zmagał się gość. Nie wiedziałem, czy tylne drzwi też wypaczyły się od ciężaru blach, jak te z przodu, ale od razu zrozumiałem, dlaczego oglądam najgorszy desant w historii polskiej misji w Turkmenistanie.

Dało się to ująć w trzech punktach. Pierwszy: kobieta. Drugi: z nadwagą. Trzeci: i z wielkim plecakiem. Nie wiedziałem, co to za jedna, ale oglądając jej walkę z drzwiami, a potem tobołami, nie miałem cienia wątpliwości, kto spłonałby w honkerze, gdyby po drodze trafiła się zasadzka.

Zostawiłem automat i ruszyłem w stronę bramy. Po miesiącach wegetacji w głuszy człowiek tęskni do widoku obcej twarzy, dźwięku nieznanego głosu. No i byłem ostatecznie podoficerem, a ten nieszczęśnik przy szlabanie wyraźnie nie wiedział, czy oddalając się ku kwaterom z damskim plecakiem na grzbiecie, nie popełni aby dezercji.

Pokazałem mu ręką, że biorę kłopot na siebie. Akurat przeskakiwałem nad transeją – gdybym źle wymierzył, spadł i złamał tę durną łapę, lepiej bym na tym wyszedł.

Kobieta wytaszczyła w końcu przeraźliwie wielki plecak, lecz nadal pochylała się nad nim, demonstrując jedynie wypięte pośladki. Nie patrzyłem więc tam, gdzie należy. Nogi, oglądane niemal w całości, od brzegu tenisówek poczynając, a na wystrzępionych dżinsach-obrzynkach kończąc, okazały się dużo lepsze, niż w pierwszej chwili sądziłem. Wina drzwi: odsłoniły jedynie łydki, a te były faktycznie szerokie i za mało zdecydowanie zwężyły się w kostkach. Mój umysł błyskawicznie dokonał ekstrapolacji i dorobił do nich jeszcze masywniejszą resztę.

Niestety, popełnił błąd. Za mało danych, fałszywy wniosek. Nikt uczciwy nie nazwałby dziewczyny szczupłą, ale gruba też nie była.

Oprócz tenisówek i szortów ze spranego dżinsu nosiła koszulkę trykotową w barwie banana oraz czerwoną czapkę z daszkiem i reklamą czegoś tam. Cienia rzucanego przez daszek było jej mało, więc uzupełniła strój ciemnymi okularami. Zachodzące ku skroniom szkła, no i fakt, że oglądałem ją ni to z tyłu, ni z profilu, nie pozwoliły mi przy pierwszym podejściu umieścić jej w odpowiedniej grupie wiekowej. Strój miała raczej młodzieżowy, nie przykleiłbym jej jednak z marszu etykiety „przebojowa smarkula”, gdyby nie włosy. Były czarne, grube, proste jak u Indianki i – co najważniejsze – związane w spływające ku obojczykom kitki. Może jestem zacofany, ale taka fryzura kojarzy mi się raczej ze słowem „dziewczyna” niż „kobieta”.

– Pani do nas? – Dopiero teraz jej figura ostatecznie wysunęła się zza parawanu opancerzonych drzwi, ukazując niewysoką wypukłość biustu i pudło aparatu fotograficznego. – Chyba nie z prasy?

Oparła plecak o biodro, wyprostowała się i zastygła.

– Może pani zamknąć drzwi? – upomniał się kierowca.

Wyglądało na to, że nie mogła. Stała, gapiała się na mnie, a otaczająca ją czerwona poświata w połączeniu z czarnymi okularami upodabniały ją do zwiadowcy Obcych, który spłynął właśnie na Ziemię, zwinął hiperprzestrzenny spadochron i kombinuje, którym z podręcznych środków bojowych anihilować spotkanego nieoczekiwanie tubylca. Trwało to na tyle długo, że mamrocący coś niepochlebnego szofer wyciągnął się w poprzek siedzeń i sam zatrzasnął drzwi, a ja dojrzałem do postanowienia, by nigdy nie witać nienormalnych nieznanymi schowanych za ciemnymi okularami i oglądanych na tle zachodzącego słońca.

Do nienormalnych zaliczyłem ją gładko z racji pobytu tu i teraz. Niby też tu byłem – tyle że nie z własnej woli.

– Wezmę ten plecak. – Gniewny trzask drzwi odblokował jakąś klapkę w moim mózgu. – Chyba że...

– Adam?! – W jej głosie było tyle niewiary, że nawet nagłe ryknięcie silnika nie było w stanie tego zagłuszyć.

Honker zaczął zawracać. Opancerzenie z epoki bitwy nad Sommą nie ułatwiało kierowcy sprawy; musiał otworzyć drzwi i wychylić się. Co z kolei mnie bardzo ułatwiło decyzję.

– Czekaj! – Kiedy się postarałem, potrafiłem szczeknąć rozkazem nie gorzej od Bruszcaka. Kierowca natychmiast przerzucił stopę na pedał hamulca, wyrżał pytająco zza kanciastej sylwetki wozu. – Zabierzesz panią z powrotem!

– Ale numer... – Póki co, reagowała śmiechem. Nie byłem pewien, czy to efekt rozbawienia moim żartem, czy radości. – To naprawdę ty? Czy może macie tu fatamorgany?

Twarz miała ciemniejszą od nóg, a usta chyba zawsze pasowały kolorytem do brunetki, więc nawet słońce w tle nie mogło zaćmić radosnego błysku zębów.

– Mamy tu dużo gorszych rzeczy – powiedziałem, utrzymując się w nieco złagodzonej, lecz nadal surowo-dowódczej tonacji. – Dlatego cześć i do widzenia. Będzie lepiej dla wszystkich, jeżeli od razu wrócisz.

– Słucham? – Czarne brwi powędrowały ku grzywce. Tę też nosiła jak Indianka i musiałem przyznać, że dorosłej Kaśce było w tym uczesaniu równie dobrze, jak tamtej dawnej.

– Mówię, że powinnaś zrobić w tył zwrot i wracać do Bajram-Ali. Czy skąd tam przyjechaliście. Póki widno.

Uśmiech przygasł. Jeszcze nie do końca, jeszcze nie miała pewności, czy to nie ciąg dalszy dziwnego żartu.

– Już wiem – zaryzykowała. – Nie chce ci się taszczyć mojego plecaka, a jesteś nadal dżentelmenem i nie pozwalisz, żebym sama. Więc mówisz: „Won, dziecino”.

Powinienem pamiętać, przed kim stoję. Wszystkiego oczekiwałem po tej rozmowie, tylko nie własnego śmiechu.

Opanowałem się po kilku sekundach. Gdybym stał jak ona, ze słońcem za plecami, może nawet nie byłoby niczego widać.

Kierowca uporał się z zawracaniem; wychylił się, demonstrując gotowość do dalszej jazdy. Skinąłem na Kaśkę.

- No, zmykaj. Nocą naprawdę bywa tu niebezpiecznie. Już rozumiała. Ale pogodzić się z faktami nie zdążyła.

- To ja - ściągnęła okulary i nieco błazeńskim ruchem rozłożyła ręce, jak ktoś mówiący: „Proszę, obejrzyjcie mnie sobie”. - Sosnowska Katarzyna, klasa C. Nie poznajesz?

Chciałbym nie poznawać. Chciałbym, by ważyła sto kilo, malowała włosy na fioletowo i skręcała w durne loczki. Albo przynajmniej przyjechała tu trochę wcześniej, względnie dużo później. Nie w chwili, gdy zmagalem się z ochotą wykrzyczenia „wróć, Patrycj!”.

- Poznaj - rzuciłem drętwo. - Zostaw mi swoje zamiary; niedługo będę w brygadzie... Możemy pogadać.

Byłem szczery i spontaniczny jak zawodowy dyplomata. Nic dziwnego, że jej twarz zastygła w sztucznie beznamietnym grymasie.

- Mam tu przepustkę od waszego szefa sztabu - zwróciła się do wartownika, rozpinając plecak. - Pokazać?

- Nnnie... - zmieszał się. Zerknął na mnie, potem machnął w kierunku budynków. - Jak już, to porucznikowi. Powinien być w dyżurce. Pan plutonowy... yyy... zaprowadzi?

Zdołałem zaskoczyć oboje.

- Ani mi się śni. - Wyzywająco skrzyżowałem ręce na piersi, przegradzając sobą środek drogi. - A ty stąd zaraz wyjedziesz, Kaśka. Dla dobra wszystkich, z własnym na czele.

Nigdy nie widziałem jej rozzłoszczonej, zdenerwowanej czy po prostu w marnym humorze. Nasza znajomość nie sięgała tak głęboko. Nie mogłem przewidzieć, jak zareaguje. Zresztą minęło wiele lat i nawet gdybyśmy znali się wtedy jak łyse konie, niewiele by to dało: byliśmy prawie dwa razy starsi i pewnie całkiem inni.

- Spadaj - mruknęła, robiąc skłon i przechodząc pod belką szlabanu. - I wróć, jak otrzeźwiejesz.

Zarzucała plecak na ramiona trzy razy. Chyba chciała pokazać, do jakiego stopnia jestem jej zbędny. Oczywiście bagażu miała zbyt wiele jak na demonstracyjnie niedbałe

gesty i gdyby nie wartownik, pewnie przy czwartym podejściu potężny garb przewróciłby ją w końcu.

Nie kiwnąłem palcem, by jej pomóc. Była to najbardziej męska decyzja w moim życiu. Potem wyprostowana od dumy albo nadmiaru balastu Kaśka odeszła w kierunku baraków, a ja raz jeszcze zachowałem się jak facet z krwi i kości. Zostawiłem automat tam, gdzie leżał, i poszedłem szukać wody.

## Rozdział 2

Izba żołnierska była w bazie tylko jedna, za to duża: stanowił ją cały barak numer 5. Wzdłuż lewej ściany ciągnęły się stojaki z karabinami i oporządzeniem, wzdłuż prawej łóżka i stoły. Poszczególne drużyny poodgradzały się parawanami z brezentu, tworząc namiastki koszarowych sal. Pierwsza ścianka wydzielala wartownię. Jej wyposażenie ograniczało się do stołu z gromadką taboretów i telefonu. Leżanek dla zmiany odpoczywającej nie było: spała we własnych łóżkach. Przy stole czekało na swą kolejkę czterech chłopaków ze zmiany czuwającej. Grali w karty i nie zwrócili na mnie uwagi.

Była pora kolacji, co tłumaczyło panującą w ogromnym pomieszczeniu pustkę. Minąłem kilka żelaznych łóżek, zasłanych nieco mniej starannie niż w prawdziwych koszarach, lecz i tak uderzająco porządnym na tle ścian z surowych bloczków betonowych, dotarłem do brezentowego parawanu oddzielającego trzecią drużynę od drugiej. Dalej kwaterowali moi saperzy, a jeszcze dalej, na samym końcu budynku, ulokowano regał z podręczną artylerią: w uchwytach stały trzy rury granatników RPG-7, a na dole, niczym buty w szafce, czekały torby z amunicją.

Za parawanem siedział szeregowy Grześkowiak. Zwolniłem, zaskoczony jego widokiem. Głupia reakcja: ostatecznie to właśnie do niego miałem interes.

Siedział z nogami na sąsiednim taborecie i bazgrał w zeszycie. Nie przebywaliśmy w koszarach, ale obaj byliśmy mniej więcej w mundurach i tak swobodna poza nie bardzo pasowała do kontaktów na linii plutonowy-szeregowy. W pierwszym odruchu omal nie zabrał nóg, przemyślał jednak sprawę i zrezygnował z tego.

- Jest Sławek? - skinąłem ku dalszym rejonom baraku. Moją prywatną receptą na takich bezczelnych młodzieńców było odgrywanie zabieganego i pochłoniętego własnymi sprawami. Ktoś taki zwykle nie zwraca uwagi na daleką od regulaminowej postawę szeregowych. Żalodne, ale przynajmniej nie stosowałem tej metody w kontaktach z podwładnymi. On moim podwładnym nie był. Bogu dzięki.

- A który to? - Nie wykopałem mu taboretu spod kopyt, no i proszę: od razu poczuł się dwa razy bardziej pewny siebie. Wyciągnąłby się może nawet do granic leżenia, dając mi odczuć, jak dalece nie przejmuje się takim ni to trepem, ni cywilem, ale kiedy się siedzi na standardowym taborecie koszarowym i w charakterze oparcia wykorzystuje goły mur, nie bardzo da się to zrobić.

- A ilu znasz?

- W naszym plutonie?

- Nie, na łodziach podwodnych. - Zirytował mnie i pewnie dlatego podjąłem niełatwą inicjatywę. - A zresztą mniejsza... Ciebie szukam. Sławek mówi, że miewasz alkohol.

- Ja?! Fornalskiemu się chyba przyśniło!

- Nie rozumiemy się - powiedziałem polubownym tonem. - Chcę kupić, nie konfiskować. Od nalotów jest porucznik.

Zainteresowałem go na tyle, że zestawiał nogi na zastępujące posadzkę klepisko i odłożył pełen rachunków zeszyt. Nie lubiliśmy się raczej, ale biznes to biznes.

- Powiedział, że sprzedają wódkę? - zdziwił się fałszywie.

- Fakt: raz czy dwa podrzuciłem chłopakom zakupy z miasta; może i jakaś flaszeczka się trafiła, ale żeby zaraz sprzedawanie... Za ich kupowałem.

- To teraz kup za moje. Połówkę. Dorzucę na piwo.